

A PHOTO FINISH

GOLD RUSH RANCH #2

DRUGI TOM SERII OPOWIADAJĄCY HISTORIĘ NOWYCH BOHATERÓW

ELSIE SILVER



ELSIE SILVER

**A PHOTO
FINISH**

G O L D R U S H R A N C H # 2

**Tłumaczenie
Katarzyna Dyrek**

Tytuł oryginału: *A Photo Finish*

Copyright © Elsie Silver 2021

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne, Oświęcim 2024
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Magdalena Mieczkowska

Korekta: Marta Bałażyk, Kamila Grotowska, Wiktoria Garczewska

Skład i łamanie: Michał Swędrowski

Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Cover art by Books and Moods

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-560-7 · Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne · Oświęcim 2024
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek

Wspieramy czytelnictwo w Polsce razem z Fundacją Powszechnego Czytania



🌐 www.wydawnictwonezwykle.pl
@ niezwykle@wydawnictwonezwykle.pl
f Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
📷 [niezwyklezagraniczne](#)
✂ [Wyd_NieZwykle](#)
🎵 [wydawnictwonezwykle](#)

*Mojemu mężowi – Kocham Cię, ale proszę,
przeznacz obserwować mnie na TikToku*

*W końskiej powierzchowności jest coś dobrego
dla ludzkiego wnętrza.*
Winston Churchill



Rozdział 1

VIOLET

Czy ja naprawdę właśnie wygrałam Denman Derby?

Wszystko wokół mnie dzieje się jakby w zwolnionym tempie. Mam przed sobą spiczaste czarne uszy i błyszczącą grzywę konia, który kołysze się pode mną w równym rytmie. Wsuwam palce w te długie pasma i trzymam się ich jak koła ratunkowego.

Oglądam się przez ramię, by upewnić się, że naprawdę przekroczyłam linię mety, nie straciłam przytomności i nie przega-piłam istotnej części gonitwy. Może czeka mnie jeszcze kolejne okążenie? Może dałam ciała jak debiutantka, którą przecież jestem?

Wszyscy wokół mnie jednak zwalniają i się zatrzymują. Dostrzegam stajennych, którzy prowadzą podeksycytowane konie wyścigowe. Słyszę gratulacje składane przez konkurentów. Miłe

to, skoro całkiem przypadkowo siedzę na ogierze, na którym przed chwilą wygrałam tak prestiżową gonitwę.

To mój drugi wyścig w życiu, a właśnie zakwalifikowałam się do Northern Crown. Łut szczęścia. Coś naprawdę niezwykłego.

Kręcę głową, starając się oczyścić umysł, a do moich uszu dobiega panujący wokół gwar. Słyszę wrzawę na trybunach, dźwięk instrumentów dętych płynący z głośników, dostrzegam, że na tablicy migocze nasz numer.

Naprawdę wygraliśmy.

Zbliżam się do błyszczącej czarnej szyi, obejmuję ją i tulę się do śliskiej od potu sierści. Wzruszenie chwyta mnie za gardło, a do oczu napływają łzy.

– Kto jest najlepszym koniem na świecie? – szepczę.

Podnoszę się i powoli odchodzimy. Po wyścigu ogier nie pozostaje zbyt długo nabuzowany. DD to duży słodziak, chociaż nie zawsze tak było. Jeszcze nie tak dawno nikt nie chciał z nim pracować, ale nowa trenerka Billie w jakiś sposób do niego dotarła i przekonała go do siebie na tyle, że pozwolił się dotrzeć.

Popuszczam wodze, aby dać mu nieco swobody, gdy idziemy w stronę kręgu zwycięzców. Wydaje mi się, że właśnie tam powinniśmy się teraz znaleźć. Denerwuję się, bo tak naprawdę nie wiem, jak się zachować. Doskonale znam hipodrom Bell Point Park, ale nigdy wcześniej nie wygrałam tak ważnej gonitwy.

Chwilę później podchodzi do mnie Hank, który zawiaduje całym Gold Rush Ranch. Klepie mnie po nodze i patrzy z czystą, zaraźliwą radością. W jego zielonych, otoczonych zmarszczkami oczach widać emocje.

– Gratuluję, Violet. Jestem z ciebie bardzo dumny.

Mrugam pospiesznie i odwracam spojrzenie. Traktuję Hanka jak ojca. A może dziadka? Naprawdę nie wiem. Mężczyzna ma już tyle lat, że mógłby odpoczywać na emeryturze, ale codziennie pracuje na ranczu, jakby był młodzikiem.

Uśmiecham się ze wzruszeniem. Dociera do mnie to, co się właśnie stało, i czuję się przytłoczona.

– Dziękuję, Hank.

Unosi rękę i chwyta wodze blisko wędziła.

– Wow, mały. – Prowadzi konia pod drzewo, w cień. – Od-pocznijcie przez chwilę, zanim pokażecie się w kręgu. Złapcie oddech.

Mogłabym go uściskać za to, że wie, czego mi trzeba, skoro sama jestem w zbyt wielkim szoku, by zdać sobie z tego sprawę.

– Dziękuję. – Uśmiecham się do niego, zamykam oczy i oddycham głęboko, tak jak mi polecił.

Jeszcze kilka tygodni temu byłam stajenną w Gold Rush Ranch. Czasami odbywałam jazdy treningowe, gdy prosiła mnie o pomoc moja przyjaciółka i główna trenerka Billie Black. Bardzo się zdziwiłam, kiedy oznajmiła, że będę ujeżdżała najbardziej obiecującego konia wyścigowego, jakiego w życiu widziałam. Wystarczyła jedna kiepska gonitwa – naszego ogiera dosiadał wtedy sławny w okolicy dżokej Patrick Cassel – aby całkowicie go skreśliła, a na jego miejsce wepchnęła mnie.

Miałam głupi fart, a teraz jestem pewna, że wszyscy zauważą, że brak mi profesjonalizmu. Przejrzą mój blef.

Kiedy czuję, że przestaje mi się kręcić w głowie, prostuję plecy i unoszę głowę. DD oddycha wolniej i mlaszcze. To znak, że nie jest już pobudzony.

Udajesz, aż się stajesz, Vi. Nieważne, jakim cudem się tu znalazłam. Wygrałam niełatwą gonitwę. Zasłużyliśmy sobie na to zwycięstwo. Z wdzięcznością zamierzam je uznać, zamiast biczować się z powodu myśli, że na nie nie zasługuję.

– Dobra, jestem gotowa.

Hank stanowczo kiwa głową i ciągnie konia do kręgu zwycięzców.

Zauważam stojącą tam Billie w dużych okularach przeciwsłonecznych, które zasłaniają zapewne zażawione oczy. Dostrzegam

również Vaughna, jednego ze współwłaścicieli Gold Rush Ranch, zaborczo trzymającego rękę na jej talii.

Mimowolnie się uśmiecham. Mężczyzna poszedł po rozum do głowy i najwyraźniej jego plan odzyskania Billie się powiódł. Puszczam do niego oko, gdy Billie podbiega, aby uściskać i konia, i mnie. Mamrocze coś o tym, że mnie kocha, ale jest zła, że nie wtajemniczyłam jej w sytuację. Parskam śmiechem. W końcu mi wybacz. Gdybym jej o wszystkim powiedziała, zniszczyłabym najbardziej romantyczną niespodziankę na świecie.

– Później mi się odwdzięczysz – szepczę w jej zmierzwione kasztanowe włosy, pochylając się, aby również ją objąć.

Podchodzi Vaughn i mocno ściska mi dłoń.

– Gratulacje, Violet. Piękna jazda.

– Dziękuję za szansę – odpowiadam, szczerząc zęby jak wariatka. No poważnie: kto wsadza zupełnie nieprzygotowaną dwudziestosześcioletnią stajenną na konia, by poprowadziła go podczas tak prestiżowego wyścigu?

W tym momencie mój wzrok zatrzymuje się na kimś, kto podchodzi do nas i staje obok Vaughna. Wytrzeszczam oczy i karczę się w duchu. Przybrałam pokerową minę, która zapewne pozostawia wiele do życzenia. Zdaję sobie sprawę, że nadal nie umiem zapanować nad mimiką, bo nieustannie widać na mojej twarzy emocje – jest jak wielki neon i tym razem również nie ma od tego wyjątku.

Mężczyzna to bez wątplenia starszy brat Vaughna, Cole. Wiele o nim słyszałam, głównie od Billie, która narzekała, że to palant, i żartowała, że pewnie jest robotem. Teraz to widzę – gdy wszyscy wokół są podekscytowani, on jest niewzruszony i wygląda zabójczo.

Zabójczo i apetycznie.

Nie wiem, czy endorfiny, które krążą teraz w moich żyłach, przyprowadzają mnie o ten zawrót głowy, czy może tak wielkie szczęście zabija szare komórki, ale nie mogę oderwać oczu od tego

wspaniałego mężczyzny. Patrzy na mnie gniewnie, a ja spijam go wzrokiem jak szampana, którego nie mogę się doczekać. Kiedy skończy się już ten szalony dzień, z ochotą sięgnę po kieliszek.

Cole jest podobny do Vaughna, ale wygląda zupełnie inaczej. Jest bardziej hardy i imponujący. Młodszy brat jest wysoki i szczupły, a starszy – lepiej zbudowany i silniejszy. Jego marynarka wygląda, jakby miała rozerwać się w ramionach, wystarczy, że napiąłby je wystarczająco mocno. Omiatam wzrokiem jego wąską talię i duże uda.

Weź się w garść, Violet. Ślinisz się.

Gdy wyobrażałam sobie współwłaściciela rancza – samotnika, który cały czas przebywa w firmie w centrum Vancouver i nigdy się tu nie pojawia – jego obraz w mojej głowie był zupełnie inny.

– Hej! – mówię nieco zbyt wesołkowato, a zsiadając z konia, krzywię się w duchu. – Jestem Violet.

Podaję mu rękę, a wokół nas kręcą się kibice i dziennikarze.

Nie odpowiada uśmiechem. Kształtne wargi zaciska w wąską linię i wpatruje się we mnie szarymi oczami, gdy stoję obok DD-ego. Kiedy ściska mi dłoń, moja wraz z nadgarstkiem praktycznie znikają, objęte jego dużymi palcami. Uścisk początkowo jest ostrożny, ale po chwili mężczyzna zbliża się do mnie i zamyka dłoń. Podnosi drugą rękę i przywołuje mnie palcem.

Serce łomocze mi w piersi, gdy jak totalna frajerka natychmiast spełniam jego polecenie. Lgnę do niego jak ćma do płomienia.

Spodziewam się, że mi pogratuluje.

Nie oczekuję jednak, że będzie wytykać mi błędy przeszłości.

– Miło ponownie cię widzieć, Ślicznotko w Fiolecie. W ubraniu prawie cię nie poznałem.

Sapię głośno i odsuwam się gwałtownie.

Nie.

Patrzę mu w twarz, próbując ją rozpoznać. Czuję, że błędę, gdy przypominam sobie człowieka, którego tak usilnie starałam się zapomnieć.

Niemżliwe.

Tylko jedna osoba na świecie mogłaby mnie tak nazwać i miałaby czelność powiedzieć to w taki właśnie sposób. Czerwienię się, gdy napływają wspomnienia sprzed roku.

Tamto młodzięcze doświadczenie było jedynie przeszkodą w drodze do mojej pełnej niezależności.

Tamten czas powinien pozostać w niepamięci.

Kiedy zostawiłam go bez słowa, miał nie wracać.

Nie powinien nic dla mnie znaczyć.

Wśród panującego wokół zgiełku tonę w szarych oczach Cole'a, uświadamiając sobie, że wciąż nie jest mi obojętny.



Rozdział 2

COLE

Rok później...

Nie chcę przeprowadzać się do Gold Rush Ranch.

Nienawidzę tego miejsca. I to nie jest czcza gadanina. Goreje we mnie głęboki wstręt, który daje mi znać, że tu nie pasuję. Instynkt, który utrzymywał mnie przy życiu na misji wojskowej, przypomina o sobie, ilekroć tu przyjeżdżam. Ale oto pędzę autostradą, zmierzając na wieś. Gdybym miał tak złe przeczucie w Iraku, zawróciłbym i zwiewał gdzie pieprz rośnie.

Ale to nie jest Irak.

To pieprzone Ruby Creek, które tak naprawdę może być gorsze. Jestem pewien, że w tej miejscinie znajdę jedynie stację benzynową, sklepik spożywczo-przemysłowy i bandę starych

plotkar. Nienawidzę małych miast. Nie znoszę przyjaznego klimatu, bo wszyscy oczekują, że zatrzymasz się i porozmawiasz z ludźmi, których nie znasz i na których ci zupełnie nie zależy. Nie cierpię również tego, że wszyscy znają moją firmę.

Przeważnie mogę w spokoju wszystkich nienawidzić, ale teraz nawet ja nie chcę się aż tak bardzo zapędzać. Nie chcę być chamski.

Lubię prywatność. Podoba mi się wyznaczona przestrzeń, cisza, porządek. Ale nie znoszę, gdy zadaje mi się docieklive pytania. Wkurzający młodszy braciszek Vaughn wystarczająco napsuł mi krwi, a teraz jest zaręczony i mieszka na ranchu z Billie Black, która również znana jest jako najbardziej denerwująca kobieta na świecie.

To nie tak, że nie cieszę się ich szczęściem, choć muszę przyznać, że przewracam oczami za każdym razem, gdy zachowują się jak zakochane nastolatki. Billie jest dobra dla mojego młodszego brata. Tych dwoje jednak żyje w krainie słońca i tęczy, więc niemal potrzeba okularów przeciwsłonecznych, gdy chce się przebywać w ich obecności.

Jęczę na samą myśl o tym, jak niewiele spokoju będę miał na ranchu.

Wspominam przejażdżki po szlakach z tatą. Myślę o tym, jak się razem śmialiśmy, jak uśmiechał się do mnie, dzieląc się swoją pasją do wyścigów konnych. Był szczęśliwy, gdy widział mnie w siodle, a ja niezmiernie się cieszyłem, mogąc spędzać z nim czas. A potem, kiedy skręcam w boczną drogę prowadzącą do posiadłości, myślę o niej.

Z nią nie pójdzie mi tak łatwo jak z resztą. Nie powinienem się przed nią odsłaniać i tracić kontroli. Mogłem zachować anonimowość, jednak kiedy zobaczyłem rozpromienioną, beztroską twarz, która prześladowała mnie co noc przez ostatni rok, a której nigdy nie zapomnę, zrobiłem to, co zawsze.

Wszystko zniszczyłem.

Celowo zalałem atramentem tę śnieżnobiałą, czystą kartkę, a czarny płyn ją ubrudził.

Od tamtej gonitwy za wszelką cenę jej unikałem. Wystraszyłem dziewczynę, a potem odszedłem. Dla mnie to norma. *Jesteś cholernym futem.*

Zaciskam palce na kierownicy i zgrzytam zębami, a w mojej piersi narasta niepokój. Widzę sztyl Gold Rush Ranch, który kołysze się na łańcuszkach przy wjeździe na wypielegnowany, obsadzony drzewami podjazd. Prycham. To nie jest zwykłe ranczo, ale światowej klasy ośrodek dla koni wyścigowych, tak bardzo różniący się od farmy, od której zaczynali moi dziadkowie.

Zawiera mnóstwo historii...

Nie powinienem przyjeżdżać do miejsca, z którym wiąże się tak wiele prześladowających mnie wspomnień oraz ludzi, którzy mnie nie rozumieją. I którym nigdy nie uda się mnie przejrzeć, bo na to nie pozwolę.

Obiecałem jednak zarządowi Gold Rush Resources – naszej drugiej rodzinnej firmy – że będę zarządzał nowym interesem w sąsiednim mieście. Oświadczyłem, że nie wrócę, dopóki nie zacznie przynosić zysków. W tej chwili jednak nie pojmuję, dlaczego właściwie to powiedziałem.

Wjeżdżam na okrągły podjazd i rozglądam się po terenie posiadłości. Muszę przyznać, że Vaughn utrzymuje to miejsce w niezłej kondycji. Są tu konie, płoty, nawet kwiatki. Przejął kierownictwo ponad rok temu, a ranczo rozkwitło. Nie chcę przyznawać tego na głos, ale marzę, aby wrócił do biura w centrum Vancouver. W pewnym sensie lubię go mieć przy sobie.

Zamiast tego ułożył sobie życie tutaj i niemal zazdroszczę mu umiejętności całkowitego przededefiniowania własnej osoby, podczas gdy ja niezmiennie taplam się w bagnie, które sam sobie stworzyłem.

Zamykam oczy i głęboko wciągam powietrze, wbijając nasadę dłoni w prawe udo, by spróbować odnaleźć wewnętrzny spokój.

Terapeutka zaleciła mi miarowe oddychanie. Odpowiedziałem jej wtedy, że brzmi to jak jakaś hipisowska bzdura New Age. Obdarzyła mnie jedynie pustym spojrzeniem – zbyt dobrze mnie zna. Zapewne domyśliła się, że w tajemnicy przed nią próbowałem tej metody i przekonałem się, że jest skuteczna, więc nie będziemy musieli ponownie rozmawiać o mechanizmie radzenia sobie z lękiem.

Puk, puk.

– Cześć, braciszku! Drzemiesz? Wiem, że jesteś już stary, ale to chyba przesada.

Jeśli będę udawać, że Billie Black tu nie ma, to czy zniknie niczym irytujący wytwór mojej wyobraźni? Taki, który mogę wyrzucić z głowy, kiedy tylko zechcę?

Otwieram oczy i powoli przenoszę na nią wzrok. Posyłam jej swoje najgroźniejsze gniewne spojrzenie. To, które większość osób zmusza do ucieczki. Billie jednak uśmiecha się jeszcze szerzej. *Jak wariatka.*

Parska śmiechem, odwraca się i macha ręką.

– Gdybyś szukał Vaughna, jak już się podniesiesz, to jest w swoim gabinecie.

Nienawidzę pracy w Gold Rush Ranch.

– Wyglądasz, jakbyś miał ochotę kogoś zamordować.

Krzywię się, patrząc na siedzącego za biurkiem Vaughna. Zajmuję miejsce w fotelu naprzeciwko niego.

– Czuję się, jakbym mógł to zrobić.

Unosi brwi.

– Dlaczego?

– Wiesz, jak bardzo nie lubię tu być.

– Wiem, ale ta nowa kopalnia jest w Hope... Właściwie dlaczego nie poszukałeś sobie tam mieszkania?

Ocieram twarz. Vaughn zawsze był dociekliwy. Pamiętam, że nieustannie za mną łąził i o wszystko pytał. Jest między nami pięć lat różnicy, dlatego nie przejmowałem się wyjaśnianiem rzeczy typu, dlaczego pewne litery zapisuje się inaczej, niż się czyta.

Wydaje się niepotrzebnym okrucieństwem, by zdradzić, że sprawdziłem wszystkie inne możliwości. Okazało się, że w tamtej małej mieścinie nikt nie wynajmie mi niczego długoterminowo. Wygląda na to, że albo mieszka się tam od zawsze, albo wcale, a ja nie mam zamiaru kupować domu w zatęchłej dziurze ani sypiać z karaluchami w jakimś podrzędnym motelu przy drodze tylko po to, żeby spełnić złożoną zarządowi obietnicę.

– To dość krótka delegacja. Masz tu pusty gabinet, więc można powiedzieć, że wybór był dość oczywisty. – To powinno go zadowolić.

Vaughn uśmiecha się podejrzliwie.

– Po prostu się przyznaj.

Krzyżuję ręce na piersiach, bo ostatnio tylko w ten sposób mogę się chronić.

– Do czego?

– Że za mną tęskniłeś. – Wyszczерza się zarozumiale, przez co mam ochotę mu przywalić, żeby przypomnieć, kto tu jest silniejszy. Zamiast tego po prostu na niego patrzę, przybierając swój zwyczajowy wyraz twarzy.

Unosi ręce w geście poddania.

– Dobra, dobra. Tęskniłeś za Billie.

Tym razem jęczę i patrzę w sufit. *Kocham swoją pracę, kocham swoją pracę, kocham swoją pracę. Załatwianie firmowych spraw w wolnym gabinecie na końcu korytarza będzie w porządku.*

– Masz rację. To nie jest... O! Wiem! – Kątem oka dostrzegam, że opiera łokcie na blacie i splata dłonie przed ustami. – Tęskniłeś za Violet.

Nagle serce bije mi tak głośno, że jego echo dudni mi w uszach. Pulsowanie przechodzi przez całe moje ciało. *Dlaczego, do cholery, miałby tak myśleć?*

Dzięki wieloletniemu szkoleniu wojskowemu potrafię wyglądać, jakby nic mnie nie ruszało, choć w głębi duszy czuję się źle. Dlatego patrzę teraz na brata z udawaną powagą i pytam:

– Za kim?

Bystre oczy rozbawionego Vaughna uważnie skanują moją twarz. Są ciemne, bardzo podobne do oczu taty, ja natomiast mam jaśniejsze po mamie. Obu nam poszczęściło się jednak w kwestii wzrostu – być może to geny dziadka Dermota.

– Cóż... – Vaughn gwałtownie wstaje, a gdy zmienia temat, nieco się odprężam. – W takim razie musimy się tobą zająć.

Prowadzi mnie przez parking do rzucającego się w oczy porsche. Być może nie nosi już na co dzień garniturów, ale samochodu jeszcze się nie pozbył.

– Dlaczego nadal nim jeździsz? Mieszkasz na totalnym zadupiu, gdzie są same szutrowe drogi.

Obdarza mnie swoim charakterystycznym chłopięcym uśmiechem.

– Wkurzam nim Billie – rzuca i trzaska drzwiami.

Jestem zmuszony jechać za nim bocznymi drogami. Prowadzi jak wariat. Od zawsze miałem wrażenie, że dla Vaughna wszystko jest zabawą. W tej chwili ma już trzydzieści jeden lat, a nadal kręci go sypanie żwirem na zakrętach.

Kiedy stajemy nieopodal niebieskiego domu, muszę przyznać, że jestem zaskoczony. Spodziewałem się, że każe mi mieszkać w domku dla gości, a nie w tym, który należał do dziadka. Zbudował go Dermot, a wychował się w nim nasz tata.

Znów pojawia się instynkt, który nakazuje ucieczkę. *Spieprzaj, póki jeszcze możesz.*

Wysiadam z czarnego pick-upa.

– Dlaczego nie mieszkacie z Billie w głównym domu?

Brat szuka odpowiedniego klucza w dużym pęku. Jego dezorganizacja sprawia, że drga mi powieka.

– Billie woli domek gościnny. Tam rozpoczął się nasz związek i to chyba dlatego się z niego nie wynieśliśmy. Zresztą tu będziesz miał więcej miejsca. – Chciał, by zabrzmiało to jak żart, ale mnie zakłuło. Nie znoszę faktu, że tu jestem.

Kiedy otwiera drzwi, ze zdziwieniem stwierdzam, że trochę się tu pozmieniało, odkąd ostatnio odwiedziłem to miejsce. Przestrzeń nie jest już tak zagracona, a wewnątrz wygląda jak z magazynu dekoratorskiego „Życie na Wsi”. Widać surowe deski oraz niebieskie i białe dodatki. I pachnie środkami czystości, jakby ktoś tu sprzątał. To poziom porządku, którego mój młodszy brat nie jest w stanie osiągnąć.

Stojąc na progu, wdycham cytrusową woń. Może nawet pachnie wybielaczem.

– Zatrudniłeś sprzątaczkę?

Vaughn prycha.

– Nie. Billie nalegała, żeby posprzątać tu przed twoim przyjazdem.

Unoszę brwi, jakbym chciał zapytać: „Szalona Billie to dla mnie zrobiła?”. Jednak myśl, że ktoś, kogo niezbyt starałem się do siebie przekonać, pokusił się, aby zapewnić mi godne warunki do życia, jest osobliwa.

Brat zbywa mnie gestem i wchodzi do środka. W butach. Zgrzytam zębami.

– Kiedy zamieszkała na ranchu, dom był w opłakanym stanie. Nie pozwoliła mi o tym zapomnieć i powoli zaczęła go restaurować. Stwierdziła, że trzeba go odświeżyć...

Wiem, że wytyka fakt, że nasi dziadkowie mieszkali tu aż do śmierci. Kochałem ich, ale Vaughna łączyła z Dermotem wyjątkowa więź, która przestała mi się podobać. Przez którą o mały włos zakończył swój związek z Billie.

Mimo że dom przypomina mi o dziadku, przywołuje również bolesne wspomnienia o tacie – moim idolu, który na moich

oczach spadł z konia podczas gonitwy. I już nie wstał. Vaughn miał wtedy mniej lat niż ja, więc niewiele łączy go z tym domem, w którym wszystko przypomina mi o ojcu.

Chrząkam i odsuwam od siebie te myśli.

– Napracowała się.

Brat wybałusza oczy, jakbym go zszokował tym, że prawie komplementy jego narzeczonej. *Naprawdę jestem aż tak podłym człowiekiem?*

– Przekażę jej – odpowiada z dziwną miną. – Cole, gdybyś kiedykolwiek... no nie wiem, chciał napić się ze mną piwa, po prostu daj znać. Z chęcią się skuszę. Nie musisz robić z tego miejsca swojej pustelni.

Patrzę na brata i widzę osamotnionego dzieciaka, którego zostawiłem w chwili, gdy wszedłem na pokład samolotu, żeby rozpocząć szkolenie wojskowe. Nigdy nie przeprosiłem go za wyjazd i może nie muszę tego robić. Podświadomość jednak podpowiada mi, że powinienem – i właśnie przez to poczucie czuję się niekomfortowo w towarzystwie Vaughna. Chciałbym przyjaźnić się z własnym bratem, ale aby do tego doszło, powinniśmy prawdopodobnie omówić kilka spraw, których tak naprawdę nie chcę rozgrzebywać. *Jestem pewien, że moją terapeutkę piękną w tej chwili uszy.*

A jeśli już o niej mowa... Zerkam na zegarek.

– Zaraz będę musiał odbić ważną rozmowę telefoniczną, więc może innym razem.

Vaughn lekko garbi się z powodu odniesionej porażki.

Idę do auta po torbę. *Zabiłoby cię, gdybyś przystał na jego propozycję?*

Podąża za mną, a na jego usta wraca ten swawolny uśmiešek. Przez moment zazdroścę mu tej natychmiastowej radości, bo wszystko spływa po nim jak po kaczce – mnie natomiast oblepia i się trzyma.

– Na razie! – woła i wsiada do tego swojego małego, durnego samochodu.

Chrząkam i macham krótko, boleśnie świadomy własnej goryczy. Bardzo różnię się od brata.

Zamykam drzwi domu i idę na górę do sypialni, by się rozpakować, i nie będę kłamać – cieszę się, że jest równie czysta jak salon. Pomieszczenie wymalowano na biało i szaro. Trochę to kobiece, ale dodaje świeżości. Uśmiecham się, gdy zauważam, że Billie odchyliła brzeg kołdry i zostawiła czekoladkę na poduszce. To naprawdę niedorzeczne.

Ostrożnie układam ubrania w komodzie, a później kosmetyki w łazience. Organizuję przestrzeń. Tak, być może to mała nerwica natręctw. Porządek wpojono mi w wojsku, więc już chyba nigdy nie stanę się bałaganiarzem.

Kiedy dzwoni telefon, siadam w bujanym fotelu w kącie i odbieram połączenie wideo. Na ekranie pojawia się drobna, pomarszczona twarz mojej terapeutki, która mruży oczy, jakby patrzyła przez lornetkę. Jej okulary mają tak grube soczewki, że wyglądają jak lupy, gdy ze zmarszczonymi brwiami patrzy w telefon, jakby był jakimś magicznym przedmiotem. Srebrne bransoletki pobrzękują na jej nadgarstku, kiedy próbuje układać komórkę w różnych pozycjach.

– Cole, nie jestem pewna, czy to zadziała. Pod żadnym kątem nie prezentuję się na tym urządzeniu jakoś szczególnie dobrze – narzeka, niewielką, pomarszczoną dłońią przeczesując włosy.

– Cześć, Beatrice – odpowiadam, nie przejmując się humorami swojej siedemdziesięcioletniej terapeutki.

Cmoka i siada prosto.

– Rozmawiamy już od dwóch lat i mam dosyć przypominania ci, żebyś zwracał się do mnie Trixie.

Przechodzi mnie dreszcz. Nazywanie starszej pani dziecięcym zdrobnieniem jest wysoce niepokojące, ale prawdę mówiąc, lubię też się z nią droczyć.

Uśmiecham się półgębkiem, patrząc w kamerkę. Gabinet Trixie różni się od miejsc pracy innych terapeutów, z którymi

spotykałem się przez lata. Beatrice przyjmuje pacjentów w swoim domu z początku dwudziestego wieku. Na starych, dębowych podłogach leżą perskie dywaniki, natomiast w każdym kącie na stojakach znajdują się kwiaty doniczkowe. Przy dużych oknach wiszą kryształki, a ściany zdobią obrazy, które w ciągu dekad swoich podróży przywoziła z różnych zakątków świata. I nawet przez ekran komórki czuję płynący od niej zapach olejku z paczuli.

Tak, Trixie Bentham to stara hipiska. Nie mogłaby stanowić większego przeciwieństwa mnie i mojej rodziny, nawet gdyby bardzo się starała. I to również jedyna terapeutka, której udało się do mnie dotrzeć. Dlatego mimo że jest zupełnie odklejona od rzeczywistości, wracam do niej, bo zdaję sobie sprawę, że potrzebuję terapii. Przekonałem ją, by zgodziła się rozmawiać ze mną za pośrednictwem kamery, ponieważ musiałem wyjechać na wieś.

– Chcesz, żebym ci opowiedział, jak się trzymam? A może o tym, że dopadły mnie natarczywe wspomnienia o tacie?

Kiwa z uśmiechem głową.

– No nie wiem, mój drogi. Czy o tym właśnie chcesz ze mną rozmawiać?

Ach, gra w pytania retoryczne. Jedna z moich ulubionych. Po prostu na nią patrzę – co nigdy nie działa, ale i tak to robię.

Dziś śmieje się ochryple i poprawia okulary.

– Wpadłeś już na tę dziewczynę? – szepcze konspiracyjnie.

– Jaką dziewczynę? – Celowo rżnę głupa.

Znów parska śmiechem.

– Tę, o której nie możesz przestać opowiadać.